

SZTUKA ■ OSOBOWA 89

PISMO PROGRAMOWE
WROCŁAW 2001 ROK XI

OSOBA - ZNAK - SŁOWO
nieregularnik

ZAWARTOŚĆ NUMERU

2 Słowa Ewangelii - *św. J 7,2-10*

3 Rmk {obraz} - "CHRYSTUS"

4 Stefan Pastuszewski {poezja} - "Ave Alona"

5 Jan Michał Orion {poezja} - "Powracająca fala"
- "Droga pielgrzyma"
- "Fałszywi prorocy"
- "Ptak"
- "Próba"
- "Most rozstań"
- "Dzikie gęsi"

10 Stanisław Chyczynski {poezja} - "SALIX ALBA"

- "Modlitwa"
- "Rymkiewicz albo Zaduszki"
- "Ojciec Beskidów"

14 Radosław Michał Ryszkiewicz {proza} - "Nic, nigdy, nic"

25 VARIA

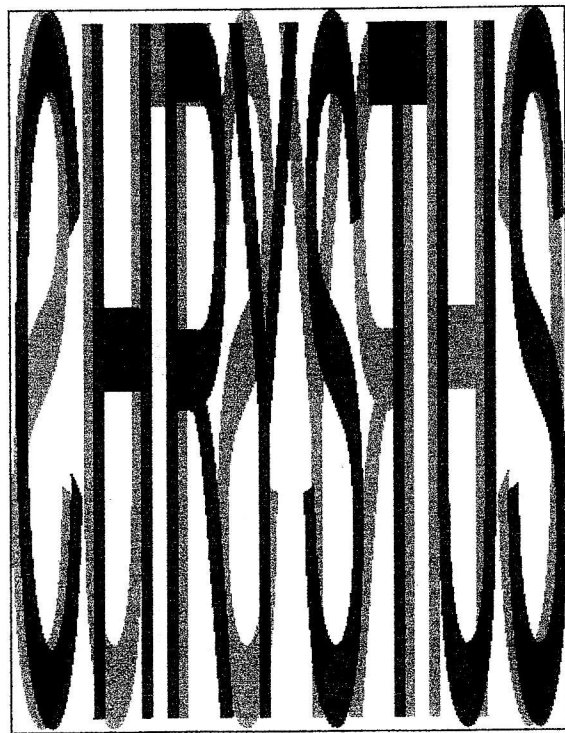
26 NOTA AUTORSKA

" Zbliżało się żydowskie Święto Namiotów. Jego bracia rzekli więc do Niego:

- Wyjdź stąd i idź do Judei, żeby i Twoi uczniowie widzieli dzieła, jakich dokonujesz. Bo kto chce, żeby Go poznano, nie działa w ukryciu. Skoro takich dzieł dokonujesz, pokaż się światu. Ale Jego bracia niewie-
rzyli w Niego. Mówi więc do nich Jezus:

- Na Mnie jeszcze czas, a dla was pora zawsze jest stosowna. Was nie może świat nienawidzić, a Mnie nienawidzi, bo Ja świadczę, że jego uczynki są złe. Idźcie na święto, Ja nie idę na to święto, bo na Mnie jeszcze czas.

A kiedy Jego bracia poszli na święto, On także poszedł, lecz poszedł potajemnie, nie ujawniając się."



Rmk {obraz} - CHRYSTUS

AVE AGLONA!

Maryja
królowa dwunastu aniołów
kobieta z dzieckiem i kwiatem
cicha

nizej
putta jak muchy z tiulowymi skrzydełkami

msza na piętrze

a ponad
dobry stary Bóg ojciec
bez żadnych oznak władzy
pokornym ubóstwem
ogarnia wszystko:
biel, złoto i niedzielną radość

Aglona, 29 kwietnia 2001

POWRACAJĄCA FALA

Znów odeszła ode mnie miłość,
tym razem ostatnia z rodu,
z babim latem we wrześnieu.

Wielka dama z artystycznego rodu.

Tak, tak.
To byłby megalians-powiedziała na odchodne.

Cenię już tylko swój umysł i cudzą pracę.

Muszę to przeżyć w sobie niczym gumę.

Pozostaję z nadzieją, skrucą, zalem,
z dala od rodzinnych stron,
patrzac na ratownika nad morzem.

Wszak znów trzeba będzie wracać...

DROGA PIELGRZYMA

Nim
dojdziemy do Królestwa Niebieskiego
musimy przejść ziemską drogę

dźwigać swój Krzyż
choroby - zniechęcenia - pracy
zniewolenia umysłu przez pieniądź.

To nie jest takie proste
ani "na niby" - jak mawiał pewien ksiądz.

To jest życie na serio
i wiara w Boga - Pantokratora
bowiem z prochu powstaaliśmy
i po ziemskiej drodze pielgrzymiej
obrócimy się w pył.

FAŁSZYWI PROROCY

"Kto ma uszy - niech słyszy..."
(Pismo Święte)

Ja słyszałem pieśń o Bogu Ukrytym
czy też człowiekowi pijanym - sam nie wiem...

Kazano mi szukać miłości, która
dała nadzieję i - odjechała w nieznane.

Tak więc od 14 lat jestem przy nadziei.

Teraz nie słyszę już nic -
nie ma zakreću historii
nie ma nadmiaru wrażeń
nie ma szpitala...

Czytam "Pieśń o Bogu Ukrytym",
do pijanego człowieka nie zachodzę wcale
niechby mnie nazywał "nicponiem"
"głupcem" czy "nędzarzem"
przy swoim pozostanę -
"Odpowiednie dać rzeczy - słowo"

PTAK

To mój pseudonim literacki.

Żyję, jak Norwid, tyle
że na Ojczyściej ziemi,
a nie wygnaniu.

Nie jestem darmozjadem.

Nie mam oblubienicy.

Śnię jeszcze, iż wzlecę wysoko,
niczym rajski Orion...

Tak mówiła wróżka,
a ja im wierzę,
jak gwiazdom swoim na niebie.

PRÓBA

Jezu!
 Czemu mnie opuściłeś
 o północy i w słabości mojej,
 w niedzielę, o chlebie i wodzie?

Twoja wielkość niepojęta
 nawet dla mnie,
 skutki Twojej woli święte
 od prapoczątku - Pantokratora - Boga...

Jednak przeżyłem, myślę spokojnie,
 modląc się do Ciebie Panie,
 że to była próba męki człowieczej,
 czyli Krzyża - racz mi Go dać lekkim, Panie...!

MOST ROZSTAŃ

Usiadłem na barierze
 na moście rozstań...

Listonosz znów nie przyniósł listu
 renta będzie dopiero w poniedziałek
 przyjaciele rozjechali się na wsze strony
 zła kobieta kracze jak wrona
 leżąca nad szumiącym potokiem...

Pozostaje mi Bóg i kościół -
 poddanie się Jego Świętej woli.
 I sklepikarz, który da towar na kredyt
 oraz siostra, która nie zapomina.

To wszystko co mam
 oprócz swoich 41 lat.

DZIKIE GĘSI

Nareszcie
 odleciały ode mnie posępne myśli,
 jak dzikie gęsi-jesienią.

To nic, że piszę dla nielicznych -
 wystarczy kilkadziesiąt dusz i rozmów,
 by na spotkaniu autorskim
 zadawać pytania.

Znawcy przedmiotu twierdzą,
 że moja poezja jest dobra,
 jak słowa papieża Jana XXIII!

Dzikie gęsi odlatają kluczem -
 ja go nie mam w swej prostolinijnej poezji.

Jan Michał Orion

SALIX ALBA

moja wiara
 trywialna jak wierzba
 nie ma w sobie
 szlactwa jabłoni
 gruszek także
 nie mogę obiecać
 nawet jeśli
 uzdrowisz mnie dłońmi
 w rajskim parku
 nie stanie z magnolią
 nie rozczuli
 nozdrzy ogrodnika
 z giętkich witek
 mojej wiary ściągien
 nie zbuduje
 swoich skrzydeł Ikar
 nie wyrośnie
 drabina w Jerychu
 wzorem tamtej
 sykomory - ale
 moja wiara
 żywotna jak wierzba
 święta do cna
 będzie rosła dalej!

maj 1977r.

MODLITWA

Ty - dzielisz rządysz
 i rozdajesz wstępy
 na wielkie bale
 "głów pychą nadętych"
 wygrywasz bitwy
 wygrywasz kampanie
 zderzając myśli
 - najgenialniej

więc krzyczę Tobie
 głosem wółpękniętym
 przyjdź do mnie Duchu
 przybądź do mnie Święty
 mojej inności
 nie depcząc na miazgę
 zjednaj mnie Ojcu
 chociażby
 - drobiazgiem...

RYMKIEWICZ albo ZADUSZKI

sen grabarza północny: światło więzi mar mur
 ze świętych wykształconych metalem o marmur

kubistyczny trop myśli wyobraźni chorej
 wciska się między groby niczym skoczny chorej

ten z Katynia oficer że przebił go nabój
symbolem poszedł w kamień - kiedyś chodził na bój

bezemszon leży w kącie - tryumfów nie dożył
czarny sok polskiej ziemi wlewa mu się do żył

tamten wielki producent - nie narzeka na zbyt
teraz też nie narzeka bezrobotny nazbyt

zgasła gwiazda po prawej po lewej miss stu dni
czas sypie czarny piasek do jedynej studni

pod płaszczem wierzby płaczki wystrzępionym od strzał
sobie śpi ojciec wierszy spisany na ostrzał...

OJCIEC BESKIDÓW

Ma swoją górę
w ukochanych stronach,
skąd błogosławi
ptakom podniebieskim,
zakrętom wiatru,
które szepcą do nas
o Bożej łasce
z gorczycowej pestki,
i błogosławi
słoneczkom szarotek,
prastarym mnichom

w bukowych habitach,
alejom świątków
podpalanych złotem
polskiej jesieni,
ziemi pod kopyta
ułańskiej szpicy,
co nigdy nie wróci,
więc błogosławi
spod dachu kościółka,
jakby chciał zmienić
letnie wnętrza ludzi
(niemym wołaniem)
w jeden psalmów wulkan.

Stanisław Chyczyński

Nikt, nigdy, nic.

Wieczny bunt, który do nikąd nie prowadzi, był od początku świata nieuleczalny. Próba bycia innym kończyła się zawsze tak samo. Zmienna była tylko forma. Bezsens opanowujący mieszczański sposób istnienia, stawał się coraz bardziej konsumpcyjny, aby dojść do swej najgłupszej i najbardziej zakłamej postaci.

- Uciekłem - krzyknąłem z całej siły, lecz dźwięk ugrzązł gdzieś pomiędzy *electric* i *sonic temple*. Pomyślałem więc, że nie ma sensu dalej się wydzierać, jeżeli inni robią to lepiej i skuteczniej. Skupić się i analizować wszystko dogłębnie? Próbowalem, lecz nie wyszło i to. Zresztą zbyt proste by to było. Zacząłem pobieżnie uderzać słowami. Miały one swój urok, lecz umilkłem, nie potrafiąc ruszyć się z miejsca. To był przełom, którego nie sposób uzmysłować. Uderzenie płynęło za uderzeniem, więc i ja trząsałem głową. Piwo w ręce, ręce w górze, łzy w oczach, *sweet soul sister* w uszach, za oknem ciemność spotkania, na niebie gwiazdy, przed domem samochód.

Nie miałem zamiaru przestać, czekałem na przesilenie, i żał mi było tych, którzy zostali oszukani przez system, który poparł; i religię, w której boga uwierzyli. Osiemnaście fraz, doskonale podzielonych i prostych, jak nic innego, mogło odmierzać upływający czas. Szedłem, tracąc go coraz więcej. Szedłem coraz szybciej. Czekałem na przesilenie. W pełnym spokoju podszedłem i zrobiłem głośniejsze. Wtedy nie mogłem pomyśleć, zupełnie sparaliżowany stałem i czekałem, kiedy to się skończy. Nie podszedłem do nikogo i nic nie

powiedziałem. Podszedłem do niego i powiedziałem. Wiesz dobrze, jak to jest, gdy pragnienie jest silniejsze od strachu. Kiedy wybierasz drogę do nikąd. Do nikąd.

"bogów duże portrety - uśmiechają się"

Siedział w barze już od rana. Wokół gwar zabijał wszystko, lecz nie zwracał na to uwagi. Był już po tamtej stronie. Wcześniej czy później, wiedział, że się tutaj znajdzie. A potem wróci do swojego azylu i położy się. Będzie O.K.

Czas przelewał się z godziny na godzinę, noc znów uciekała i zaczynało szarzeć. Nie chciało mu się spojrzeć na żaden zegarek. Obudził się znów tak wcześnie i patrzył w sufit. Jak zawsze. Wsunął pod kołdrę i obrócony na bok. Patrząc w sufit. Myśl. Jedna. Nic. Myśl. Druga. Znow nic. Nicość. Nie warto. Ani chwili. podkurczył nogi i zamknął oczy. Sufit umknął gdzieś wraz z całym pokojem. Osłona zaczęła działać. Umysł zaczął projekcje filmu, niepokonanego i nieskończonego, choćby fale wszystkich wód obróciły się przeciwko. Na przekór wszystkim i sobie samemu. Dookoła i jeszcze raz. Kolory mogły się zlewać. Szarość, tak jak zwykle przy wszystkich swoich pozorach i kłamliwych prawdach o ucieczce i wolności, kiedy nic nie szkodzi na przeszkodzie, choć tylko marzenia mogły być tym, czym nigdy nie będą, póki już wszystko będzie wskazywało, że są nierealne. Dramaturgia wskazywała na dobrą sztukę. Na dobre opowiadanie, o którym można powiedzieć tylko tyle, że się je napisało, a może tylko przeczytało. Gdzieś powoli zaczął wyrastać ten cholerny kompleks i powstawała na nim żółta, przyprawiająca o wymioty narośl. Otworzył oczy i namyślał się. Znow trzeba było spróbować. Jeszcze raz sklecić kilka

sloganów. Po frazować odpowiednio i dać im wszystkim złudzenie, że są anty, przeciwko. Dozować im także trzeba zwątpienie, aby nie zniszczyli tej całej misternej budowli, w której istnieją na hańbę i ku.... Dlatego próbował ułożyć pierwsze zdanie, aby nie wstać bez żadnej myśli, którą można byłoby zapisać teraz, natychmiast, aby nie uciekła potem ze skatowanego mózgu. Umysł powoli budził się z letargu. Tak, dać im to złudzenie, niech bawią się tym wszystkim nie wiedząc o niczym, a już na pewno o tym jak są sterowani pokazując jednocześnie asystemowość i areligijność. Lubił w nich tę nieświadomość faktu, że są inni, lecz naprawdę tylko tym, czym mogą być. Kwiatem o doskonale destruktywnych płatach, jak szmaty do podłóg, którymi w socjalistycznych krajach rozmazywano błoto w sklepach z mięsem. Są wielcy w swym poczuciu wyższej nieświadomości, jak gdyby miało to trwać bez końca. Jest więc dobrze, kiedy twierdzą o odcinaniu się i niezależności, reszta nigdy nie będzie się liczyć. Społeczeństwo ułożone na wzór hierarchii kast, liżało swoje rany zadane przez anarchistów. Bardziej śmieszne od tych którzy w nie uderzali. Wielka masa ludzkich ciał poruszająca się beładnie po planecie nazwaną Terra, przez samego mistrza, ulega co pewien czas koniecznej selekcji wynikającej z najświętszej prawdy o ludzkości: *I hate of people and you man* /slogan punków w latach osiemdziesiątych/. Sam mistrz poczuwał się do odpowiedzialności za nią, choć nikt nigdy nie udowodnił, że jest jej stwórcą. Każde pokolenie było chyba tylko bandą idiotów wynikłych z poporodowych komplikacji, jeśli wciąż nie mogło tego zrozumieć. Lecz nie o tych tutaj mowa. Druga strona była zawsze ciekawsza, bardziej kolorowa, bardziej agresywna, uzewnętrzniająca swoją inność i fascynująca, bo prowadziła

do nikąd. I choć była tylko wytworem tego samego systemu, któremu się przeciwstawiała, to warto było zagrzebać się w nią, co stało się punktem wyjścia. Wystarczyło powtórzyć niezręcznie parę uwarunkowań i już rewolucja była faktem, tak sobie dla dobrej zabawy i aby się nie nudzić, gdyż tylko o to chodzi. Wstał więc teraz i usiadł przy starym biurku, zdewastowanym i pustym oprócz paru butelek stojących i ziejących pustką swych czystych jeszcze wnętrz. Napelnił pióro i wziął zeszyt, oświeciwszy małą jarzeniową lampkę - pozostałość, kiedy jeszcze cokolwiek miało pozory sensu. Napisał kilka zdań i zamyślił się podnosząc wysoko pióro. Wstał z krzesła i w nieczystej już podkoszulce, na której zacierał się oryginalny napis najsłynniejszej rockowej kapeli na świecie, podszedł do zniszczonego tapczanu, schylił się i wyciągnął zza niego dużą litrową butelkę, w której została już tylko jedna piąta całej zawartości. Odkręcił i łyknął na stojąco. Spojrzał w jaśniejącą powoli szarość świtu, która rozlewała się za oknem i powiedział głośno do siebie.

- Teraz jest dobrze. - Po czym uśmiechnął się sam do siebie tak, jakby to wszystko było tylko złym snem, z którego się na pewno obudzisz, by zacząć się męczyć jeszcze w gorszym koszmarze, który nie skończy się nigdy. Usiadł znów i zaczął pisać powoli, lecz dokładnie. Formułował myśli pociągając co pewien czas łyk i nieprzerwanie sunął po papierze zostawiając słowa. Cisza, która panowała wokół była jego jedynym sprzymierzeńcem i przyjacielem, póki on tego nie zrozumie, by stać się wrogiem. Twoim także, choć nigdy tego nie pojmiesz. Bo chodziło właśnie o to, by negocjować całe to pieprzone mieszczaństwo, doprowadzające swoim widokiem do bólu, jednak ten sposób był zbyt związany z realnością,

jaką gwarantował ci system. A więc on i tylko on był bodźcem do jakichkolwiek działań. Później zrobił się z tego jeszcze większy śmietnik, marginalia i ekskrementy pozostawały do końca i nie pomagała żadna ablucja, jedynym wyjściem było znieczulenie, bowiem samobójstwo w tym przypadku było półśrodkiem. Chodziło o to, by żyć i opluwać ich całym swoim istnieniem. Całym swoim wymysłem. Całym swoim zmyśleniem. Czymś, czego nie można określić, co jest tylko wtedy, kiedy jesteś już prawie pewien.

Za oknem zaczęło świtać, otworzyłem oczy i nie myślałem nic. Rozrzucone na stole tabletki sprawiały wrażenie bezładu. On chyba był tylko pozorem. Jego nie było. Wtedy podniosłem rękę i położyłem ją pod kark. Wsunąłem włosy pod szyję i pomyślałem wtedy tylko o tym jedynym, co naprawdę było jeszcze czymś w miarę nie takim, jak wszystko i dookoła obejmująca szarość. Nie patrz się tak na mnie sku..., kreatorze, on jest silniejszy od ciebie - znów pomyślałem. Chciałem powtórzyć tę myśl, lecz ona była zbyt piękna i zbyt zwyrodniała zarazem. Teraz - tak właśnie - teraz, kiedy za oknem był mróz, i śnieg, i czarne ptaki, jakie możesz usłyszeć na *pleasure to kill* /tytuł drugiej płyty grupy trash metalowej Kreator/. Wstałem więc podnosząc ręce i twarz do góry pełen tej siły, jaka nigdy nie istniała. I pomyślałem znów, jak bardzo ich nienawidzę, gdyż nigdy nie mogłem zapomnieć moich marzeń, jakie rozwalono podkutymi butami i, tak brutalnie, że serce pękało na samą myśl o tym. Dotknąłem swojego czoła, było tuste, jak zawsze kiedy switało, a ja wstawałem. Wtedy podszedłem do adapteru i długo

zastanawiałem się co włączyć. Czy naprawdę mogłbym to zrobić i czy naprawdę mogłbym? Nie usiłowałem spytać nawet twarzy, jaka wisiła na ścianie. Tej twarzy tego człowieka, który żył szybciej i mocniej niż ja, i chyba zrozumiał, jak bardzo pragnienie zabija cię w tym kraju, gdzie możesz się tylko poddawać i nie masz praw, o jakich ci się nawet nie śniło. Brnąłem więc dalej w tym, coraz dalej tak, jakby nic nie istniało, przez próżnię, w której poruszali się ci głupi i oszukani ludzie. Oni byli, jak owce, które przycina się na miarę systemu, na miarę fikcji, o jakiej nikt nie miał najmniejszego wyobrażenia. Pomyślałem, że jest źle, że oni wciąż stoją ze swoimi racjami i od lat, a ja byłem tylko jeden, tylko sam. Oni są zorganizowani, a ja - cóż mogłem zrobić ze swoimi: marzeniami, ideami, narkotykami? Zdałem sobie wtedy sprawę z tego, że jestem cholernie słaby, że my - choć tak to można nazwać - też jesteśmy wytworem tego systemu, mimo że działamy na starej, jak świat zasadzie antidotum. Potrafiłem kiedyś myśleć realnie i mogłem być z tego dumny, jednak kiedy religia katolicka rozwalila całe moje wnętrze, zacząłem się zastanawiać, dlaczego oni mówią o dobroci wobec bliźniego swego, wszak nie można przyzwyczajać do miłosierdzia nikogo, a tym bardziej siebie samego. Dlatego tak jest i dlatego to wszystko toczy się dalej. Spróbowałem więc pomyśleć o świadomości, jaką dała mi wiara w nicłość. *Myślenie nie prowadzi do niczego, dlatego tak bardzo to lubię* /Marek Hłasko/. I stałem tak nad tym cholernym gramofonem nie wiedząc co włączyć. Za oknem jaśniał świt, a ja wiedziałem już, że wszystko zaczyna od początku i że wszystko zaczyna się od początku. Po trzykroć, że wszystko zaczyna się od początku. I znów będzie trzeba wstać i wziąć kilka z tych tabletek leżących na stole. A później stanąć przed

potężnym stwórcą i powiedzieć już któryś z kolei raz, że popełnił cholerny błąd, a on schyli swoje czoło i nie odpowie nic. Ten starzec z brodą, w którego oczach będą lzy.

- Tak myślałem - rzekł do siebie samego - tak myślałem, że to powinno się jakoś skończyć. Siedział w tym ciemnym pokoju, gdzie jednym światłem była jarzeniowa lampka z dawnych czasów. Za oknem powoli wznosił się świt. Ciemność ustępowała miejsca szarości. Powoli budziło się życie. Tak, właśnie tak, jak *waiting for the sun* /tytuł płyty legendarnej grupy z USA The Doors, wyraziciel buntów kontrkulturowych na przełomie sześćdziesiątych i siedemdziesiątych lat ubiegłego wieku/. Z tą różnicą tylko, że słońce nie miało się pokazać tego dnia ani na minutę. Nabrał w płuca dużo powietrza i wypuścił je powoli. Oparł się teraz całym ciężarem na biurku i skinął głową tak, jakby się już zgadzał na wszystko.

Pomyślałem sobie wtedy, że jak oni są przeciwko mnie, a ja stoję tutaj sam, to jest chyba źle. Tak, wciąż myślałem tylko o jednym. Po tym, co widziałem i odczułem. Gdzieś na skraju świadomości istniało coś, jakby sprzężenie. W nim były zawarte moje dążenia, w jaki więc sposób staną się one załącznikiem moich wielu istnień? W letargu, kiedy było cholernie dobrze, mogłem słuchać sobie, pić czy robić opór innym rzeczy. Gdzieś z resztek wszystkiego mogłem jeszcze raz spytać, ale nie miało to już żadnego znaczenia.

Wziąłem więc kolejny kufel do ręki w jednym z tych

nadmorskich barów, gdzie zapach piwa miesza się ze smakiem morza, kiedy potrzebujesz czegoś bardziej niż ... niż ... Otóż wstałem później i ruszyłem w stronę wschodu. Usiadłem na piasku, w kieszeni znalazłem klucze i chustę. Morze zachwycalo, nie wiem jednak dlaczego wciąż patrzyłem na te klucze i chustę, a z oczu leciały mi lzy i nie mogłem się powstrzymać. Ktoś przechodzi z małym dzieckiem i oddalił się prędko zdziwiony. Mogłem tam siedzieć ile tylko potrafiłem sobie wyobrazić, wyobrazić sobie siedzenie nad morzem, kilka ręczników rozrzuconych, gdzieś po środku wśród puszek po piwie, gdzieś od morza przychodzą /inni/ i mówią o tym wszystkim tak, jakby nie było nic innego, jakby to istniało naprawdę. Oddaliłem się więc od tego miejsca i od tej chwili przypominając sobie, że kiedy jeszcze normalnie myślałem i normalnie odczuwałem - było źle i cierpienia zalewały moje oczy wypalając wszystko, w co jeszcze być może potrafiłem uwierzyć.

Podniósł swoją rękę w górę. Podniósł, aby pozdrowić słońce zasnutę chmurą dymów i jego istnienie było czymś pełnym, być może, czymś co nie potrzebowało narkotyków, wódki i wszystkiego, co zabija. Podniósł swoją rękę i trwał tak przez chwilę, dopóki nie zrozumiał, że nie ma to żadnego sensu. Dopóki znów nie opuścił głowy, przez którą przepłynęła mu myśl pełna smutku. Nie pytając dlaczego tak się dzieje, w podstawach swoich wyobrażeń miał tylko to jedno. Swoją własną smutną myśl, nie opuszczającą go nigdy, nawet w stanach radosnej i dogłębnej penetracji swojej duszy; ... znów usiadł naprzeciw jej twarzy tak, jakby ... nie pomyślał o

pustym dworcu, kiedy siedział na ławce w poczekalni, widząc całą przyszłość socjalistycznego systemu, w którym istniał, w którym musiał istnieć, lecz gdziekolwiek dano by mu wszystko, czego potrzebował, odwróciłby się tyłem i odszedł, chyba dlatego, że marzenia są zawsze o tym, czego nie możesz osiągnąć, a rzeczywistość jest jedyna i stworzony był tylko do takiej, jaka istniała teraz..., lecz nie było tamtej chwili i tamtego świata - jedynie kilka ręczników rozrzuconych na plaży i wszyscy oni, od których już odszedł. Gdy zmęczenie osiągnęło swoją cholerną siłę, wstał wtedy i wiatr rozwiewał mu do tyłu włosy, chciał wtedy tylko patrzeć w jedną stronę, ona była najbliżej, nie mógłby nigdy tego opisać, jak jest mu dobrze, już uciekł przed wszystkim i wtedy jeszcze raz odwrócił głowę, a oczom jego ukazał się widok jej leżącej w ciemnych okularach. Wszystko wtedy uzależniło się od tego widoku, trzymając w ręce puszkę piwa nie odrywał wzroku, aby nie stracić poczucia czegoś, o czym już nikt nigdy nie napisze. Wiatr znów rozwiewał mu włosy do tyłu, jakby chciał podkreślić, że na horyzoncie znajduje się jego kres. Ten widok, który otoczył swoim wzrokiem był nieporównywalny. Kiedy ponad Słońcem płynął błękit w statkach swoich chmur, kiedy myśl uciekała i nie chciała wrócić do klatki, jaką stawiał się dla niej racjonalny mózg, kiedy już nic nie przeszkadzało w prawdziwej percepcji, wtedy można było umrzeć za to wszystko, w tej chwili, która miała nigdy nie zaistnieć. Czyż można było do tego dopuścić, aby mózg nigdy nie skażony uczuciem stał się bezmyślnym narzędziem podświadomości, fikcyjnej trwałości pozornego świata? A jeśli on istnieje, dlaczego więc stworzyli ten pozór męczarni, świątynię boszowskiego umiłowania cierpienia, znów czegoś, co zakłóciło wizję niezmiernych wolności

ponad wszystkim? Wizję oddali tak bliskiej, że nie odczuwasz nic, odczuwając naprawdę wszystko to, co jest najpiękniejsze, co jest najlepsze i tylko myśl pływająca po niebie tak jasnym, że łyż są czymś normalnym. Dziwny świat, w którym życie nie było cierpieniem lecz klęską i upadkiem. Dziwny świecie, dziwny świecie...

Gdzieś, gdzie światło rysowało całą postać, stał tam w swojej amerykańskiej skórze, wysokich butach i jeansach. Usta miał wydęte tak, jakby chciał powiedzieć *i love sex and rock'n'roll and fuck your all* /slogan młodych rock'n'rollowców/. Długie włosy rozświetlił blask pewności i ucieczki stąd w świat, gdzie nigdy nikt nie powiedział; nie, każdy powiedział to wszystko, co tylko można było powiedzieć. Wtedy zaczął iść podnosząc wysoko nogi i miazdząc piasek, który pod naporem metalowych podkuć skwierczał pobożnie i uniżenie błagając, jakby...

Istnienie...

Istnienie...

Tak...

Jest jedno tylko słowo, które kojarzyło mu się z dobrem i myślą tak uciekającą w dal, że nie sposób jej dogonić. I wtedy właśnie, idąc prosto miarowym krokiem, uświadomił sobie to po raz wtóry, po raz kolejny tę jedyną prawdę, że jeden tylko raz można zaistnieć w tym dziwnym świecie, dlatego więc ktoś ma ci rozkazywać, a ty musisz w imię jego świętych słów robić tak i żyć tak, aby on czuł się dobrze i miał z twojego niewolnictwa satysfakcję. Tak też w każdym jego kroku

pobrzmiwała pycha i libertynizm wobec pokory i głupiej cnoty, które zostały zresztą stworzone tylko przez samych ludzi. I pomyślał wtedy, że jeśli cokolwiek można mu zrobić, to tylko zabić... tylko to. W wewnętrznej kieszeni jego skóry zielona puszcza zajmowała swoją objętość. Szedł tak, kiedy owiewał go wiatr, kiedy drzewa... i kiedy niebo... "Dziwny świat" pomyślał sobie wchodząc przez drzwi do potężnego budynku, nad którym zapadał zmierzch. Chciałbym, aby to wszystko wirowało wokół, i nie ważne jest to, o czym by mógł myśleć bojąc się następnego dnia, lecz to o czym myślał teraz, kiedy przypalony smakiem opium rozdzielał swoim myśłom wszystkie słowa, jakie tylko mógł wypowiedzieć. Potrzeba istniała gdzieś w oddali z tym całym ich sfinalizowanym światem, który miał pozory dobroci i łagodności. On podnosił głowę i wznosił do góry kielich pełen własnych pragnień, które w tej chwili się spełniały. Czarna chusta w czerwone kwiaty zawiązana na głowie wyrażała, jak bardzo można czegoś chcieć i robić to w każdej chwili... jaką można uzyskać od panteistycznego boga. Tamten świat był tutaj, jego słowa i jego myśli pozornie agresywne i samobójcze, gdyż tylko takie mogły być, jeśli wszystko stawiało naprzeciw potężnym murem niemocy. Potężnym murem więzienia totalitarnego systemu. Potężnym murem zwątpienia /wobec/ wielkiego obozu bez drutów i bez strażników. Placz i śmierć sterczały obok, jak kikuty wypalonych domów, a w jego łzach odbijał się ten dziwny świat, ... chociaż nie mógł istnieć tak, jak coś, co nie istnieje zduszone i zniewolone prawami logiki, prawami zdrowego rozsądku. Wbrew wszystkiemu...

Radosław Michał Ryszkiewicz

VARIA

-----kraj

W kraju mówi się o wyborach parlamentarnych. Mówi się także o powinności wierzących wobec takich wyborów. Jednakże spośród możliwych ugrupowań, żadne nie wykazało chęci dostatecznego rozwiązywania właściwych polskiemu narodowi integralnych potrzeb... Jeśli zatem będziemy dalej tak prowadzeni i kategoryzowani koniecznością udziału w tych wyborach bez szans, w krótkim czasie i tak może okazać się coś innego - odwrotność... bo ta pełna właściwość, zawarta w słowach: a może inaczej będzie lepiej - nadanie pełnej wartości wyborom w aspekcie oddolnego rozeznania, przejaw prawdy i odpowiedzialności, nasz świat ciągle jednak określi. Bo taka jest wykładnia tej historii (pomijając pierwsze wybory). Albo też co gorsze i najbardziej realne a dziejące się właśnie, czeka nas beznadziejne pogrążanie się w nijakości, co wykorzystali już postkomuniści. Zatem jest to dylemat: prawda moralna, a prawda obywatelska, która dzisiaj nie zna oporu - zdrowej alternatywy, stosowanej przecież w przeszłości, gdzie odwrotność, czyli nie głosowanie, może być rzeczywiście także moralne, bez grzechu... ale kto o tym dzisiaj wie? Ale jeśli taka droga przynosi uzdrowienie... Więc co to jest rzeczywistość?! A przecież Ewangelia miała być dla ubogich...

---świat

Stany Zjednoczone i Izrael przeciążyły - pomimo wewnętrznych ostrzeżeń - systemem mentalnym, a więc torturami mentalnymi, wiele ognisk ludzkich na całej ziemi. W tym czasie nastąpił jak to określono "atak terrorystyczny" na Nowy York i Pentagon. Zginęło ponad 3 tys. ludzi. Jeśli nastąpi deklarowany przez prezydenta Busha odwet, będzie to stratą dla pokoju, który w aspekcie nie tylko wspomnianej przyczyny, należy się biednym ludziom jak i całemu światu. A tak wielką rzeczą dzisiaj jest pokój ludziom dobrej woli...

rmk

NOTA AUTORSKA

Stefan Pastuszewski

Jest jednym z redaktorów czasopisma "AKANT". Uprawia także poezję...

Jan Michał Orion (Jan Organ)

Urodzony w 1959 roku w Izdebkach na Podkarpaciu. Absolwent Wydziału Filozoficzno-Historycznego Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Przez 9 lat pracował jako nauczyciel w Lesku, obecnie pozostaje na rencie. Debiutował w 1976 roku w "Prometeju". Współredagował "Obserwatora Bieszczackiego", wydał trzy tomiki poetyckie i tom prozy. Tom "CONFITEOR" jest najnowszą książką poetycką tego autora, jakże piękną w klimacie...

Stanisław Chyczyński

Urodził się 1959 roku w Kalwarii Zebrzydowskiej. W 1986 r. ukończył filozofię na Uniwersytecie Jagiellońskim. Jako poeta debiutował w 1993 r. na łamach "ŹRÓDŁA". Publikował w licznych czasopismach, wydał dotychczas: "Wiersze wyprane", "Motywy religijne", "Wielbiciel pończoch", "Oktawy mimo wszystko". "CALVARIA MON AMOUR", wyd. w 2000 roku, to ostatni tomik tego poety, z którego pochodzą zamieszczone w numerze wiersze.

Radosław Michał Ryszkiewicz

Mieszka w Ostrowiu Wielkopolskim. Píše prozę, której pierwszą próbę zamieszczamy w tym numerze.

© by Sztuka Osobowa, Wrocław 2001

Autorzy numeru osiemdziesiątego dziewiątego: Stefan Pastuszewski

Jan Michał Orion

Stanisław Chyczyński

Radosław Michał

Ryszkiewicz

ADRES:

SZTUKA OSOBOWA

ul. Złocieniowa 3

51-251 WROCŁAW

tel. (071) 330 40 55

e-mail: sztuka_osobowa@wp.pl

http://strony.wp.pl/wp/sztuka_osobowa/

Redakcja: red. honorowy Janusz Halicki
red.odp. R.M.Kędziński

Wiedz,

wiele wydarzeń jest sterowanych przez ludzi, a Pan Bóg jedynie nad całością czuwa, chociaż zdarzenia zawierają wszelkie prawdopodobieństwo Zła i Dobra.

PRENUMERATA za pośrednictwem redakcji.

UWAGA REDAKCJI: SzO przeprasza Czytelników za możliwość pojawienia się niewielkich, mniej lub bardziej, błędów bio-cybernetyczno-mentalnych w tekście. Pismo wydawane jest bez korekty.

Redakcja przyjmuje utwory do druku:

- 1) które są zgodne z założeniami SzO (z założeniami artystycznymi i przesłaniem Ewangelii).
- 2) szczególnie od wszystkich naprawdę niezależnych, miłujących prawdę twórców.
- 3) publikujemy dzieła Autorów, właściwie w bezwzględnej kolejności od chwili ich otrzymania

Nie zwraca się materiałów przyjętych do druku,
gdyż stanowią one archiwum.

888888 999999

888888 999999

888888 999999

888888 999999

888888 999999

888888 999999

888888 999999

nakład ok: 100 egz.

ISSN 1426-0158